

## Dmytro Łazutkin

Poeta, prozaik, dziennikarz. Urodził się w 1978 roku w Kijowie. Ukończył Państwowy techniczny Uniwersytet. Autor książek: „Dachy”(2003), „Sołodoszchi dla płazuniw”(2005), „Nowoje literaturnoje obozrenie. M”(2006), „nabyti trawoju swjaszczenni korowy”(2006), laureat wielu konkursów literackich, stypendysta „Gude Polonia” w 2004r.

### **Lista utworów:**

#### + Wiersze

#### **Wiersze**

\*\*\*

przejeżdżając przez niebo  
na rowerze  
ktoś pozostawił  
(hamując)  
biały ślad

a ty oglądasz swoje wiadomości  
przełączając na inny kanał  
od czasu do czasu  
może zaczęła się druga połowa  
ale tylko  
ku-klux-klan ku-klux-klan  
niekomercyjna reklama  
przedsiębiorczych dobrodziejów  
jeszcze jedno kółko  
wybory się zbliżają  
ale w niebie nie ma nikogo  
on  
nie doczekał się i odjechał

\*\*\*

kiedy szczęście natrętne jest niby  
radio chanson  
w porannym autobusie  
a wypita razem kawa  
może nakręcić ale nie może zbliżyć –

serce moje  
znajdź sobie lepszą robotę

wsluchaj się we własny rytm  
wlej się we własny rytm  
niby w akwarium  
przecież miłość  
to może tylko kilka słów

po szybkim seksie  
i przed szybkim jedzeniem...

słodyczne dla płazów

uczysz się potajemnie martwego języka  
niby – to się nie przyda  
a jednak

twoje oczy zaślepione przez śnieg

moje mieszkanie zrobione z rudej gliny

mówią, że na Boże Narodzenie  
można chodzić po wodzie  
ale ocalenie nie jest zagwarantowane

uczysz się potajemnie martwego języka  
sprawa po trochu posuwa się naprzód  
niektóre współbrzmienia  
poruszają się na wydechu

ty wszystko rozumiesz  
ale jesteś zmęczona  
nasze spojrzenia nie rymują się  
żegnamy się jak zwykle  
nie zapomnij wyłączyć światła  
podlewaj kwiaty

stara żmija

\*\*\*

właśnie teraz  
kiedy papierowe samoloty  
znajdują jeszcze przytułek między ociążałymi koronami  
najtrudniej poczuć sprzeciw  
ściskając jesień w dłoni  
niby zmięty żółty bilet  
z nazwą miasta  
do którego i tak kiedyś powrócę

i rozwrzeszczane bachory  
zganają ptaki z wygrzanych miejsc  
w popękane przygraniczne powietrze  
które przykleja się do piór  
zmieniając kierunek ruchu  
i zaostrażając poczucie wysokości

dotykamy zagranicznych klawiszy  
zapominamy znaczenia słów

stąpając na oślep  
przez tunele spokrewnionych dźwięków  
w które wbijają się ciągle  
zwidy nocnych samochodów  
i rzadko  
bezdolnych psów

ignorując zasady przemieszczania się  
i w ogóle inne zasady

i beznadziejne nigdy  
i beztrudne na zawsze  
i rozedrgane od lodowej rozpacz  
wydechy w telefoniczną membranę  
kiedy kolejny raz przestawiasz zegarki  
albo całkiem zmieniasz czas.

Idź za mną

Nie wiadomo po co  
przydarzają się takie noce  
kiedy gubią się zapalniczki  
i kobiety wypełniają się niby amfory  
pragnieniem i wilgocią  
winogronowym winem  
słodkim  
trochę cierpkim

i nagrany asfalt, który jest więcej niż po prostu asfaltem  
który już prawie jest drogą  
i trawa, która przebija się przez niego  
i ptaki, które wynurzają się z nieba do nieba innego  
władczo  
wymawiając powolne  
idź za mną  
idź za mną

możesz wezwać taksówkę  
nie wychodzić

możesz być bezpieczny  
możesz się bać bardziej niż chcieć  
ale twój wszechświat jest  
niczym drewniany dach  
przez który uparcie przeświecają gwiazdy  
nie te które ty wybrałeś  
ale te które wybierają ciebie  
jakby wzywając  
idź za mną  
idź z za mną

jak zdecydujesz tak będzie

ale sam już zaczynasz  
wymawiać  
albo raczej szeptać  
trawom i płonącym oknom  
spragnionym sercom  
i zebranych do kupy palcom  
wszystkim naraz i każdemu oddzielnie  
idź za mną  
idź a mną

tak, właśnie, tylko tak  
tak, tylko tak, właśnie tak  
pojawiały się modlitwy  
wypalały się rewolucje  
ślimaki zmieniały się w anioły  
i leciały za horyzont za granice imperium za margines miłości  
brudnej i czystej  
jak porcelanowa zastawa jak fioletowe światło  
jak dźwięki muzyki we wnętrznościach dyskotek  
kiedy wychodzisz na zewnątrz i słyszysz  
idź za mną  
idź za mną

niczym dziecięcy śpiew który przechodzi w kobiecy głos  
niczym pączki przypadkowo uchwycone w chwili przebudzenia  
niczym tysiące bajek i tysiące legend  
i tysiące win podczas nagłego pojednania  
niczym jęk niczym płacz  
w których ty i ja  
w których te wszystkie – ciche, przeklęte, konieczne, nieodłączne  
idź za mną  
idź za mną

wiesz?  
nie wiem  
wierzysz?  
tak –  
wierzę  
boisz się, kulisz, płoniesz  
krzyczysz i wszystko w tobie krzyczy  
a później po prostu mówisz  
głosem którego niemożliwe jest nie usłyszeć  
idź za mną  
idź za mną  
idź za mną

Studencka piękność

osoba z którą w tym czasie utrzymywałem

mniej więcej stabilne stosunki  
czasem dekoracyjne  
czasem głębokie  
okazała się dziewczyną  
nie w tym sensie że nietkniętą  
a w tym sensie, że nie mężczyzną

więc  
nie było w tym nic dziwnego  
że ona wróciła  
bo one wszystkie wracają –

z jakiegoś kolejnego  
konkursu  
który nazywa się  
studencka piękność

ona zajęła drugie miejsce  
zostając vice-miss  
nie byle jaki tytuł  
jest się czym szczyścić

pokazała kupę wizytówek –

kilku dyrektorów agencji modelek  
dwóch, trzech pr -managerów  
fotografików, sponsorów  
z propozycjami współpracy

jesień wykręcała przeguby  
zainteresowanie zmieniało się w sportową interesowność  
śnił mi się śnieg, który pierwszy raz topił się na oczach przechodniów  
i jeszcze sąsiadka emerytka z paleniskiem na węgiel w okolicach brzucha –  
niby trzeba co rano tam coś podkładać  
aby pociągnęła jeszcze trochę  
to wydawało się ludzkie  
jak hodowla poziomek czy podlewanie kwiatów

budziłem się rozdrażniony  
wszystkie męskie kompleksy wpełzały na podium  
i tańczyły w takt muzyki pierwszej lepszej fm- stacji

o to  
zaczyna się  
nigdy nie wychodziło mi utrzymywanie kochanek  
myślałem  
kiedy ona śpiewała pod prysznicem  
kiedy malowała się nie wiadomo po co  
no tak – po prostu- dla siebie – wszystko rozumiem...

potem parzyła kawę w kuchni

przynosiła tę kawę  
całowała mnie w szyję  
i kładła się obok

mówiła  
śmiesznie wyglądasz rano  
mój maleńki tępaku

i co z tego że  
nigdy nie lubiłem kawy  
tak samo jak dyrektorów agencji modelek  
pr managerów  
fotografów, nawet sponsorów nie lubiłem

lubiłem tylko ją  
vice-miss konkursu studencka piękność  
dziewczynę z dużymi ustami  
prysznicowymi śpiewami i opaloną skórą  
to nie tak w sumie mało  
całkiem wystarczająco  
zważając na tradycyjne  
uprzedzenia jury –  
po prostu nieprawdopodobne

przełożyła Urszula Witwicka-Rutkowska

## **Halina Kruk**

Urodziła się w 30.11.1974r we Lwowie. Filolog. Autorka tomów wierszy: "Mandry w poszukiwaniu domu"(1997), „Slidy na pisku”(1997), „Obliczka poza switlynoju”(2005), a także wielu publikacji w czasopiśmie literackich. Wiersze dla dzieci jej autorstwa drukowane były w dziecięcych czasopiśmie i almanachach. Atorka dwóch internetowych książek „Marko mandruje dowkoła switu”, „Ważko buty najmniejszym”(2003) przełożonych na 15 języków( międzynarodowy projekt „Step by step”). Laureatka wielu międzynarodowych konkursów literackich, stypendystka „Gaude Polonia” (2003). Członek Związku Literatów Ukraińskich. Mieszka i pracuje we Lwowie.

### **Lista utworów:**

[+ Wiersze](#)

### **Wiersze**

\* \* \*

śni mi się schron na obrzeżach pamięci

ostatni ocalały ze szkolnych zajęć p.o.

- *więcej wojny nie będzie*, - mówiła nam nauczycielka,

*ale każde z was, dzieci, musi zapamiętać:*

*w wypadku wybuchu jądrowego,*

*użycia broni masowego rażenia*

*albo w innym przypadku*

*należy zejść do schronu, unikając paniki*

*brać tylko niezbędni, niczego niepotrzebnego*

*ciepłe gacie, gdyby wojna przeciągnęła się do chłódów –*

*w schronie, drogie dzieci, nie włączają ogrzewania*

- a to tam i bez tego nie będzie gorąco?

rzucił ktoś z ostatniej ławki dowcipną ripostę

- *a ciebie, Hrynowec, to niewiadomo czy w ogóle wpuszczą*

*nie wystarczy miejsca dla wszystkich,*

*zapasy wody i żywności są ograniczone...*

już wiem,

podczas tego armagedonu nie uda się uniknąć paniki,

iluz zostanie zdeptanych

przy wejściu do ostatniego schronu?

nie wyobrażam sobie, jak ty, Boże, będziesz dokonywał wyboru –

każdy dziesięciotycięczny?

każdy milionowy?

a błąd statystyczny?

wierzę, że obejdzie się bez dyskryminacji

płci, rasy, wiary

chce się wierzyć...

ile łyków powietrza każdemu z nich wystarczy,

dopóki będą czekać na swego deus ex machina...

- *każda klasa*, - mówiła nam nauczycielka, -

*idzie za swoim wychowawcą,*

*i jeszcze raz powtarzam –*

*nie biegać w przejściach między pryzmami,*

*mieć przy sobie w kieszeni na piersiach kartkę z imieniem,*

*napisanym kaligraficznym,*

*a nie takim, jak u ciebie, Fedeczko, pismem...*

po co? – dziwię się do dzisiaj

pewnie po to, by anioły,

które będą wynosić dusze (bo przecież nikt nie przeżyje)

by anioły w białych kitlach z czerwonym krzyżem

(i półksiężycem?)

by anioły wiedziały, jak się do ciebie, mały, zwracać...

\* \* \*

była w nim taka wielka dziura

jak ślad po boeing'u w budynku centrum handlowego,

żył z nią przez długie lat i nic go

nie zdradzało, prócz niezdrowego błysku w oczach

i nieznacznego akcentu.



ale któregoś dnia (a może nocy) surowy głos z megafonu  
na lotnisku, w poczekalni, jak zawsze, zatłoczonej  
poinformował go: słyszysz, koleś, on ci daje  
jeszcze jedną próbę  
przejścia przez ucho igielne z powrotem  
i przeprowadzenia za sobą tych wszystkich wielbłądów...  
daje ci jeszcze jedną szansę,

za wszystko zapłacono,

słyszysz, koleś,

bo jesteś jego synem ulubionym

pomyślał „to pułapka na idiotów,

banalny szantaż,

déjà vu

nikt nie jest w stanie długo żyć z taką dziurą...

i wciągnąwszy całą heroinę, jak przystało herosowi,

czekał zanim zniknie za rogiem

ostatni zielony wielbłąd

\* \* \*

istnieje taka forma stosunków międzyludzkich – byli kochankowie

miniona czułość czasem powraca jak nawroty choroby:

bolesne puchnięcie węzłów chłonnych pamięci,

alergiczny nieżyt dystansu,

fantomowe bóle w ciele, które już do ciebie nie należy

wtedy pomaga wpatrywanie się w wodę, która wiruje  
w odpływie prysznic, wzbijając pianę  
zmywając wierzchnią, obumarłą, warstwę epidermy  
z zadawnionymi bliznami dotyków i pocałunków  
wtedy skurczone w kłębuszki

konwulsyjnie zakręcone włoski intymności  
na białej emalii odpływu są jak szczeliny,  
jak szpary, przez które boisz się wypaść do nikąd

\* \* \*

wiele rzeczy znika szybciej

niż zdążamy je zauważyć

wiele w ogóle się nie zjawia

w naszym polu widzenia,

jak ten człowieczek, którego masz rozstrzelać

na niedzielnej strzelnicy w parku kultury i wypoczynku

tak z dwadzieścia lat temu

zanim zdążę go namierzyć

on już dawno się nie wychyla

kto zabił człowieczka do rozstrzelenia

tą maleńką śrutówką

tą dwururką z krzywą lufą?

kto zdążył go zauważyć?

komu udało się go namierzyć

przez te kilka szybko płynących letnich niedziel,

z których już prawie wszystko w przeszłości?..

\* \* \*

*którejś porannej jesieni,*

*kiedy natrętnie muchy myśli*

*nie zdołają dobudzić cię o brzasku,*

*na tym ostatnim przyczółku snu,*

*z którego już nie ma dokąd się wycofać*

*obejrzyś się na to wszystko,*

*jakby widząc po raz pierwszy:*

*domek na wzgórzu,*

*cały opleciony dzikim winogronem*

*i rozchełstanymi chryzantemami,*

*ascetyczne łóżko,*

*pamiętające wszystkie wymówione tutaj modlitwy*

*złożony człowiek za ścianą,*

*z którym się nie złożyło...*

*przyznaj się do swojej porażki,*

*wreszcie się przyznaj do swojej porażki*

*tej rannej jesieni,*

*że, jak odstający od swoich kombatant,*

*wycieńczony ciągnie za sobą krwawy ślad –*

*czym dalej od ludzi,*

*czym dalej od ich zachryplego radioodbiornika,*

*który co godzinę przekazuje wieści z linii frontu,*

*czym dalej od linii frontu,*

*która nigdy nie bywa prosta, jak horyzont*

*a już lepiej powiedzieć – łamana,  
jak język na okupowanym terytorium,  
jak kardiogram twego serca,  
które jeszcze bije się same ze sobą  
o prawo by nie bić*

*\* \* \**

*chowając wielkie w małym,  
zawsze boi się na granicy celnej  
ściska walizę z nalepkami  
lepkimi od strachu palcami  
a nuż ktoś z nich przyjrzy się jej uważniej,  
zapyta surowo:  
- a co tam masz, kotku, w środku?  
zdenerwowanie pogrąża ją całą,  
wydaje się, że wszyscy oni  
jak na prześwietleniu, widzą schowane w niej:  
tę babę scytyjską z płaskimi piersiami starczymi,  
te wbite w duszę miecze z inkrustowanymi rękojeściami  
to nieposłusznym kosmykiem przykryte  
oblicze ikonowej Bogurodzicy  
te tkwiące głęboko w pamięci  
rękopisy z wypłowiałymi ustawami i półustawami  
z rozkosznymi, jak dla znawcy, marginesami...  
te cyryliczne litery, dla ich oczu niestrawne  
i wreszcie – to, co na spodzie –*

*życiowych doświadczeń ciężkie narkotyki,*

*kieszonkowy wibrator, mama-anarchia,*

*przekonanie, że terroryści też mają rację,*

*zakazana literatura: od «perwersji» do «pornografii» -*

*jak to wszystko wpisać w celną deklarację?..*

przełożyła Magdalena Szarecka

## **Sofija Andruchowycz**

Urodziła się 17.11.1982 r. w Iwano-Frankowsku. Pisarka, tłumaczka i publicystka. Autorka tomów prozy: „Lito Mileny”(2002), „Stari liudy”(2003), zbioru opowiadań „Żinki jichnich czołowikiw”(2005, wyd. polskie 2007), a także wielu publikacji. Stypendystka polsko-niemieckiego stypendium Homines Urbani (Kraków 2004). Przetłumaczyła na język ukraiński powieść Manueli Gretkowskiej „Europejka”. Współredaktorka czasopisma wizji i tekstów „Czetwer”(2003-2005). Mieszka w Kijowie

### Starzy ludzie

Prawie trzy miesiące mieszkali u Łukasza. Gdzieś około Nowego Roku Marta znikła. Jednakże przedtem mieszkali razem, jak brat z siostrą, syn z matką, pies z kotem, jak para przyjaciół, kochanków, jak mąż i żona, jak dwie krople wody, jak Papua i Nowa Gwinea, jak krew z mlekiem, herbata z cytryną, salt'n'pepper, rock'n'roll, head&shoulders, jak alfa i omega, starość i młodość, prawda i krzywda, jak on i ona. Wspólnie spędzili całe babie lato; wystawiali głowy przez okno i chwyтали wargami mokre pajęczynki, po których latały niewidoczne pajęczki, wachali liście, szeleścili nimi, rzucali kasztanami w kałuże i w niebo, mrużyli oczy od słońca. Razem przeszli przez jej przeziębienie, chorobę jesienną, początek prawdziwego chłodu i sezonu grzewczego, deszcz w dzień i w nocy, wiatr w dzień i w nocy, brak zimnej wody od dziewiątej do szóstej i od szóstej do dziewiątej, zupełny brak gorącej – Łukasz nagrzewał im wodę w milionach garnków na płycie elektrycznej. Przetrwali razem bardzo dużo, prawie trzy miesiące, prawie całą jesień, prawie pół młodości i pół starości. Byli ze sobą całe życie. Bywało, że Łukasz zauważał pod oknami samotną, pochyloną postać w niedbałym, pomarańczowym, sztruksowym stroju. Ale gdy wybiegał na dwór, nikogo już nie było, chyba że Tarzan, któremu jakoś udało się uciec z domu, machał ogonem i skamlał, błagając w ten sposób o wpuszczenie go do klatki schodowej.

Przez pierwszy tydzień lub dwa Marta miała anginę. Cała kuchnia i pokój zawałone były zużytymi chusteczkami higienicznymi, serwetkami, wymiętymi kawałkami papieru toaletowego, w który bez końca smarkała. Łukasz co godzinę mierzył jej temperaturę, martwiąc się nawet wtedy, gdy widział 37. Przynosił jej do łóżka herbatki i syropy, miód, dżemy i cytryny, tabletki, proszki, krople i stopy nowych serwetek. Marcie dziwnie błyszczały oczy, z osłabienia nie mogła podnieść nawet głowy,

ale ciągle była w stanie jakiegoś niezdrowego pobudzenia. Strasznie ochrypla, co ją bardzo ucieszyło. Mówiła, że zawsze marzyła, żeby mieć tak zachrypnięty głos jak Janis Joplin, ale nie udało jej się tego osiągnąć nawet wieloletnim paleniem. Próbowwała śpiewać (Oh Lord, Want a Buy Me a Mercedes-Benz?), ale początkowo jej się nie udawało - była za słaba. Za to później, gdy zaczęła dochodzić do siebie, śpiewała prawie na okrągło, rozkoszowała się własnym głosem, uprzyjemniając czas sobie, Łukaszowi i wszystkim sąsiadom. Z upodobaniem włączała pierwszy lepszy kompakt i śpiewała tak głośno jak tylko potrafiła, piosenka za piosenką.

Pewnego dnia razem z miksturami i cytrusami Łukasz przyniósł jej kilka kolorowych poduszek, wypełnionych suszonymi ziołami. Marta ułożyła je obok siebie i wkrótce nie tylko jej włosy, skóra, pościel, koszule Łukasza, w których spała, lecz całe mieszkanie nimi przesiąkło. Rumiankiem i miętą pachniało mięso, ziemniaki i ser, masło i mleko, woń ziół wydzielala się z książek, parasolki, dzierganej czapeczki w kolorze musztardowym, podłogi, wody w kranie, nawet w toalecie wyczuwalny był ten specyficzny aromat.

Pewnej nocy Marta, wycieńczona katarem i ciągłą wonią ziół, opowiedziała Łukaszowi przez sen kolejną historię:

- W solidnej kamienicy z piecem i małą wędzarnią mieszkała rodzina: mąż, żona i dziesięcioro dzieci. Żyli sobie dostatnio. Mąż wyrabiał najlepszą wędzonkę w okolicy i sprzedawał ją na targu. Żona dbała o gospodarstwo, gotowała kasze i zupy, myła podłogi, wycierała kurze, kąpała najmłodsze dzieci, podlewała kwiaty, haftowała i wyszywała, cerowała mężowi skarpetki, a na świąteczne dni prasowała koszule. Część dzieci bawiła się w ogrodzie, inne uczyły się, jeszcze inne już pracowały – krótko mówiąc, jak już wspominałam, była to zwykła, szczęśliwa rodzina. Gdyby nie pewna drobnostka: kobieta miała pewną niezdrową namiętność. Wszystkie kobiety i niektórzy mężczyźni mają jakieś niezdrowe namiętności. Pamiętasz, jak opowiadałam ci o swojej przyjaciółce, która była gotowa zrobić wszystko dla jabłek? Miałam też inną – ta znów nie mogła zasnąć, nie umywszy przed snem zębów pięć albo i sześć razy. Pewna znana śpiewaczka, chociaż ma już, chwała Bogu, 88 lat, do dziś chodzi bez majtek – taką już ma niezdrową skłonność. Ktoś opowiadał mi też o ciekawym małżeństwie: oboje uwielbiają łaskotać sobie nozdrza włoskami, a potem kichają, dopóki krew nie pójdzie im z nosa. Nota bene, mnie jeszcze nigdy nie ciekła krew z nosa. A tobie?

- Wiele razy – odpowiedział Łukasz.

- To pewnie niezbyt przyjemne. No więc – kontynuowała Marta – nasza porządna, wzorcowa gospodyni miała bzika na punkcie wędzonego mięsa, które tak smakowicie potrafił przyrządzać jej mąż. Warto wspomnieć, że za mąż wyszła za niego tylko z powodu tego mięsa, odrzuciwszy zaloty właściciela fabryki szkła, zamożnego i pyzatego typka. Chociaż zdawała sobie sprawę z tego, co traci, nie mogła oprzeć się namiętnościom, które trawiły jej duszę: na myśl o wędzarzu, jego oczach, włosach, postaci, o mocnym zapachu wędzonki, którym był przesiąknięty, w niezwykle sposób zaczynała wydzielać się jej ślina, oczy pobłyskiwały dziko, trzęsły się jej ręce i nie potrafiła nad sobą zapanować. Nawet przed ołtarzem, gdy patrzyła na narzeczonego i odpowiadała „tak” na zwyczajowe pytanie księdza, widziała przed sobą, prawie rzeczywisty, wielki, soczysty kawałek boczku i, nie mogąc opanować swych emocji, straciła świadomość. Potem zaczął się dla panny młodej raj - kochający mąż pozwalał jej na wszystko, a zauważywszy jej wyjątkowe zamiłowanie do wędzonki, obdarowywał ją najwyśmienitszymi kawałkami. Ale żonie wciąż było mało i mało, jej namiętność wzrastała, i gdyby to trwało nadal, mąż nie miałby czego nosić na targ. Więc, jako prawdziwy mężczyzna, który ustala zasady, nałożył veto na soczyste kawałki pachnącego mięsa. Odtąd było surowo dozowane, a biedaczka, cierpiąc przez swoją zgubną skłonność, histeryzowała, szalała z rozpacz, wpadała w depresję, krzyczała, milczała, stękała, charczała, skomlała. Jednakże mąż był nieugięty. Pewnego nieszczęsnego dnia, gdy została w domu sama, już nie wytrzymała i

polazła po wąskiej drabinie do wędzarni. Wyżej, wyżej, jeszcze wyżej, zapach wędzonego boczku stawał się nie do wytrzymania, coraz słodszy, bardziej mięsny, różowy, tłustszy, bardziej słony, znajomy zapach, ślina cieknie i cieknie, nogi i ręce trzęsą się, język już wyczuwa dotyk delikatnej, pianej pokusy. I oto żona wgrzyza się w największy czerwony kawałek, z obłędem w oczach przelyka mięso, nie przeżuwa go, śmieje się i płacze - cóż za ulga, co za radość, marzenie marzeń, szczęście moje, życie moje, moje mięsko... Jadła i jadła, połykała, żuła, rozrywała tak, że wkrótce została w wędzarni sama – dookoła ni kawałeczka boczku. Żona westchnęła i, myśląc ze strachem, co na to powie mąż, spróbowała precyzyjnie się przez mały otwór wędzarni. Ale nic z tego - w porywie szału, pożądając mięsa, jakimś cudem udało się jej przepchać przez wąski przesmyk – mąż nigdy nie sięgał tu nawet ręką, używał do tego specjalnego kija, jak więc miała się stąd wydostać żona, na dodatek po tym, jak zżarła kilka kilogramów wędzonki; to było po prostu niemożliwe. Poszukiwania trwały bardzo długo. Mąż sprawdził poddasze, piwnicę spiżarki, przebiegł wszystkie ulice, był u wszystkich sąsiadów, znajomych. Szukał jej wszędzie – nie spał, nie pił, nie jadł. Nie mógł nawet myśleć o mięsie – jakie znowu mięso, przecież jego ukochana przepadła bez śladu. Jedna z córek przyniosła z ulicy plotkę, jakoby mama uciekła z tym samym bogatym dyrektorem fabryki szkła, któremu kiedyś odmówiła. Czekali na nią jeszcze przez jakiś czas. Mąż zmarniał, schudł, wyglądał jak pobity, kościsty pies. Jednakże dzieciom udało przywrócić go do życia. „Faktycznie. – pomyślał – Przecież one muszą coś jeść”. I polazł do wędzarni. Nie znalazł tam ani kawałeczka boczku, a tylko swoją uwędzoną oblubienicę.

- Jejku, co za tragiczna historia! – posmutniała Marta. – Najwyższy czas przestawić się na wegetarianizm.

Pewnej nocy, w przypiływie wyjątkowego, boskiego natchnienia, Łukasz wymyślił bardzo skuteczny i przyjemny sposób na leczenie. Następnego dnia wybrał się na wyprawę śladem aptek, dystrybutorów farmaceutyków i zwykłych miejskich bazarów, skupując wszystkie możliwe zioła, pędy, liście, pączki. Z tą oto kolekcją ziół wrócił do domu.

Marta obserwowała jak rozkładał swoją zdobycz na podłodze, pilnując, ażeby nic nie pomieszać. I potem, na ślepo czy według jakiegoś schematu - Marta nie była w stanie tego stwierdzić - zaczął wszystko sortować i mieszać. Jedne zioła kruszył, inne odkładał nietknięte, robił po pięć-sześć rodzajów mieszanek. W pokoju unosił się gęsty aromat, od którego kręciło się w głowie. Wyglądało na to, że Łukasz ma fioła na punkcie roślin. Następnie wyciągnął skądś maleńką, ceramiczną fajkę, przetaił ją miękką chusteczką i porządnie nabił jedną z ziołowych mieszanek. Rozpalił i podał Marcie.

- Valeriana nitida, kozłek całolistny, kozłek lekarski (zwany też kocia trawą), Valeriana stolonifera, czy inaczej kozłek wąskolistny, Valeriana Grossheima i Valeriana rossica – wyjaśnił Łukasz, patrząc przy tym uważnie na Martę, która wypuszczała dym. – Dobrze na serce i duszę. Pomaga uzyskać równowagę, spokój i wewnętrzną harmonię.

Przez następne godziny Łukasz wysypywał z fajki popiół i nabijał ją nowymi ziołami, bez przerwy opowiadając.

- Tutaj mam korzeń zaślazu pospolitego (lepiej byłoby oczywiście, gdybym zdobył nasiona, mają szerokie zastosowanie w medycynie chińskiej i tybetańskiej), działa prawie jak prawoślaz lekarski – jest świetny na kaszel, sama się przekonasz. Do tego – pigwa zwyczajna, listki bożodrzewu gruczołkowatego (kapitałne na anginę), ziele firletki poszarpanej – napar, który pije się jako lek na bezpłodność.

- Teraz zmieszałem rośliny, z których jedne pobudzają wymioty, a drugie działają przeciwwymiotnie: ubiorek gorzki, kopytnik pospolity, kleśnic i torfowiec, ale nie bój się, nic ci nie będzie, tym bardziej, że dla aromatu dodałem sporo matecznika, czujesz?..

- Tu z kolei – dziki rozmaryn, nawłóć kanadyjska, szanta, babka lancetowata na kaszel i jeszcze liście chrzanu, sałata jadowita, i żółte kosańce – te mają takie cudowne żółte kwiatki, kochanie! – mogą tłumić lub wzbudzać popęd płciowy; plus marchew siewna na niemoc seksualną – to tak, żebyś poczuła interesujący posmak, no nie wstydz się!

- Spróbuj teraz rumianku i mięty, szałwi, turówki wonnej, dziewięciornika błotnego, kopru włoskiego, arjuny, jęczmienia zwyczajnego, muchomora czerwonego, gledicji kaspijskiej i karczocha. Nie czujesz się od razu lepiej, słysząc te nazwy?

Marta czuła się raczej dziwnie. Z oczu ciekły jej łzy, drapało i piekło ją w gardle i piersi, bolała głowa i drażnił dym. Ale jednocześnie miała wrażenie jakby opróżniła się niczym kielich z gęstą i brudną cieczą, albo jakby wypełniała się czymś lekkim i nieistotnym; a może i jedno, i drugie. Słowem, czuła, że wraca do zdrowia. Oddalało się od niej przeziębienie, kaszel, angina, grypa, zakrzepica żył, biegunka, egzema, histeria, rozszerzenie żył, bóle brzucha, anemie, alkoholizm, bezsenność, utrata głosu, próchnica, migreny, złamania kości, poparzenia, katar, starość - wszystko to, na co bała się zachorować, na co kiedykolwiek chorowała i nie chorowała. Marta czuła, że odzyskuje zdrowie na zawsze.

Pewnego dnia w końcu zjawiała się gorąca woda. Teraz palili fajkę podczas kąpieli, w wypełnionej parującą wodą wannie, wśród pływających liści i kwiatów roślin. Łukasz i Marta siadywali naprzeciwko siebie z nogami wyciągniętymi tak, aby, w miarę możliwości, było obojgu wygodnie. Jeśli długo się nie poruszali, na kręconych, kłujących czarnych włoskach pojawiały się setki drobnuteńkich srebrnych pęcherzyków, które układały się w rzędy koralu podobnych do porannego szronu na pędach roślin. Łukasz nabijał fajkę, i, komentując każdy kolejny zestaw, nalewał wino do kielichów. To był następny wymyślony przez niego środek leczniczy - podczas gorącej kąpieli pili zimne białe wino, a w wyziębionej kuchni czy też w pokoju, w którym niedawno całkiem przypadkiem ktoś wybił szybę – dopiero co zdjęte z gazu aromatyczne wino, za każdym razem z innym zestawem przypraw.

W ten sposób, bardzo szybko, we wszystkich zakątkach i pod stołami zjawily się całe skrzynki smukłych, pustych butelek. Pewnego razu, po powrocie do domu, Łukasz zastał Martę, jak ozdabiała jedną z nich. Pykała dymem i odważnie kreśliła kontury wydłużonych kobiecych ciał splecionych w tańcu. Tuż obok schła już ukończona butelka, na której srebrzystymi farbami namalowała księżyc, a złotymi – słońce, a na otaczającym je granacie pobłyskiwały malutkie gwiazdki.

Ozdabiając butelki, Marta opowiadała historyjki.

- Jest kilka sposobów radzenia sobie ze starością. Jednym z nich jest życie wspomnieniami. Ten sposób ułatwia przetrwanie wielu nieprzyjemnych sytuacji, często występuje wręcz jako substytut życia. I, Łukaszu, proszę cię, nie myśl, że to aż takie złe. Na przykład Olźbicie Piriaczko wspomnienia, w pewnym sensie, wychodziły na dobre. Poznałam ją w połowie lipca dwadzieścia osiem lat temu. Wracając z wycieczki, spadłam z roweru, uderzyłam głową w kamień, rozbiłam oba kolana – na tym wciąż mam bliznę, widzisz? – Marta wynurzyła z wody lekko zgiętą w kolanie prawą nogę, Łukasz objął ją obiema rękami, pochylił głowę i czule musnął ustami prawie niezauważalny ślad. – Olźbieta Piriaczko podniosła mnie z ziemi i na rękach zaniósła do swego



domu. Najpierw jednak wzięła mój rower. Jak jej się to udało, nie mam pojęcia, bo staruszka ledwie powłóczyła nogami; co więcej, zbliżała się pewnie do setki, a do tego, ważyła dwa razy tyle, ile miała lat, w związku z tym poruszała się zawsze na skonstruowanym specjalnie dla niej wózku. Ale wtedy, gdy stała się świadkiem mojego wypadku, nie wiadomo skąd wzięła siłę i spryt, dzięki którym znalazłam się na wygodnej kanapie w jej niedużym salonie ze ścianami wypełnionymi zdjęciami opalonego przystojniaka w kasku i ciemnych okularach, wycinkami z gazet o tematyce żuźlowej, plakatami, kalendarzami, przeróżnymi wizerunkami najróżniejszych motocykli. Okazało się, że Olżbieta Piriaczko jest wesołą, pogodną kobietą z oryginalnym poczuciem humoru. Nie przestawała mówić, opowiadała o pogodzie, o swojej nowej fryzurze, o psie sąsiada, o cenach kosmetyków i wyszukanych pantoflach na szpilkach, o oczekiwanych wakacjach w górach, o chęci zdobycia jeszcze jednego szczytu, o tym, że pragnie schudnąć, o nowej diecie i nowym zestawie ćwiczeń na biodra. Była przekonana, że jej piersi wciąż mają wystarczająco kuszący kształt, a pupę ma apetyczną jak świeże bułeczki. Podziwiałam Olżbietę Piriaczko i odwiedzałam ją przy każdej okazji, postanowiłam nauczyć się od niej jak czerpać rozkosz z każdej chwili życia. Chciałam, aby moje życie, gdy będę miała dziewięćdziesiąt z hakiem, dawało mi tyle samo przyjemności. Aż pewnego razu Olżbieta Piriaczko powiadomiła mnie, że „niestety Pascal nie spotka się z nią dzisiaj, gdyż wczoraj złapał katar i ma gorączkę, czyż to nie pech; ona jutro kończy siedemnaście lat i on miał w prezencie zabrać ją na szybką przejażdżkę swoim harleyem”. Na moje pytanie, kim jest Pascal, grubaska odpowiedziała zdziwionym spojrzeniem, jakby patrzyła na kogoś niespełna rozumu, i z pewnym lękiem wyjaśniła: „No co ty, Martusiu, to mój ukochany!” – „Od kiedy to ma Pani ukochanego? Nie wspominała Pani o nim wcześniej?” – zdziwiłam się, zachwycając się przy tym jeszcze bardziej wewnętrzną młodością Olżbiety. Ale ta dalej patrzyła na mnie jak na obłąkaną: „Jak to nie wspominałam o Pascalu? Przecież ja ciągle o nim mówię. Poza tym, kochanieńka, cały czas musiałyś widywać nas razem, przecież nie rozstajemy się ani na chwileczkę. Chyba, że dzisiaj wyjątkowo – westchnęła zasmucona – ale to dlatego, że Pascal zachorował. Leży w łóżku i zaraz powinnam zanieść mu lekarstwa”. Następnie dowiedziałam się, że wyszła za mąż za Pascala, gdy miała lat 23; że już niedługo, gdzieś za rok, na osiemnastkę, straci cnotę; że Pascal wkrótce przejdzie na emeryturę i już całusieńki swój czas będzie poświęcał jej i motocyklom; i że są jeszcze za młodzi, żeby mieć dzieci. Na zakończenie, szlochając przejmująco, zawsze radosna Olżbieta Piriaczko, opowiedziała, jak to miesiącami podróżowali na swoich harleyach, jak szybka i niesamowita była ich miłość, jak wiele planów mieli na przyszłość: pies, górskie wędrówki, najnowsze modele motocykli – aż do pewnego wczesnego poranka, gdy Pascal uskrzydłony swą miłością wyrwał się daleko naprzód i, przekraczając prędkość, wbił się w wielgachnego TIR-a wiozącego banany (w tych ostatnich zresztą znaleziono potem glisty afrykańskie, które trafiły do żołądków wielu smakoszy, a wytępienie ich graniczyło z cudem, jednakże dla Olżbiety ta narodowa tragedia przeszła niezauważalnie, mimo że zawsze zwracała uwagę na tego typu rzeczy). W ten sposób Olżbieta Piriaczko została wdową. Pewnie szłochałaby dalej, ale nagle przypomniało się jej, że Pascal czeka na lekarstwo, więc pożegnała mnie i odprowadziła do drzwi. Przy wszystkich kolejnych okazjach opowiadała o tym, jak spodobała mu się jej nowiućka seksowna halka, jak ją podszczypuje, jak wkrótce ją zdradzi, i jak ciężko będzie to przeżywać. „Już lepiej byłoby, gdyby umarł!” – krzyknęła Olżbieta Piriaczko, aż krztusząc się z zazdrości. Po czym poczęstowała mnie bananami, zapewniając, że na razie jedzenie ich jest w zupełności bezpieczne, dopiero w przyszłości świat odwróci się do góry nogami i w bananach zasiedlą się afrykańskie glisty. „Ale na razie, póki wszystko jest piękne, póki wszyscy jesteśmy razem i robimy to, na co mamy ochotę, nie ma co narzekać i tracić czas na bzdury” – pouczająco i wesoło powiedziała Olżbieta. „Młodość to wszystko, co mamy. Live fast, die young. Make love, not war. Don't worry, be happy. Czyż nie tak, Pascalu?” – zapytała, patrząc czule gdzieś w przestrzeń poza mną. Rozczuliłam się i już miałam się rozplakać, lecz nagle spojrzenie Olżbiety Piriaczko wypełniło się gniewem. Odwróciła wzrok, niemalże spalając mnie na popiół zawartą w nim złowrogą nienawiścią, po czym znów spojrzała gdzieś w bok. „Więc to z nią mnie zdradzasz, bezwstydniku? Z tą?.. Jest starsza ode mnie pewnie ze dwa razy!”. Była zazdrosna o mnie i swego zmarłego męża! Więcej już nie odwiedzałam Olżbiety Piriaczko. Lecz ona – dałabym uciąć sobie rękę – nawet tego nie zauważyła, zatroskana Pascalem i

motocyklami, szczęśliwa w swoim życiu na opak.

Jedliśmy akurat manicotti (to taki gigantyczny makaron, Fiono, nadziewany mięsem lub serem – lubiłaś go jako dziecko), gdy uzmysłowiłam sobie, że Łukaszowi wydaje się, że nasze wspólne życie jest zupełnie bez trosk. A nawet jeśli już trochę się martwimy, to najwyżej przez to, że zniknął Tarzan, zgubił się gdzieś, nie wiadomo gdzie i kiedy. Już nawet nie liczyliśmy, ile razy zniknął i zjawiał się wychudzony, zapchlony, głodny. Jednakże, gdy odkrywaliśmy, że Tarzana znów nie ma – od razu robiło się nam smutno i nieważne jak dobrze się działo, na dni naszych głosów i spojrzeń ciągle czaił się niepokój.

Jedliśmy akurat manicotti, gdy nasze spojrzenia, gęste od szarego osadu niepokoju, zamarły.

- Nie martw się, - powiedział, świetnie zdając sobie sprawę z tego, co mam na myśli. – Znajdziemy go. Zresztą sam wróci, jak zawsze. Zobaczysz. Już wkrótce.
- Tak, wkrótce, - odpowiedziałam z uśmiechem. – Staram się myśleć wyłącznie pozytywnie.

Z reguły jedli w łóżku. croissanty z suszonymi śliwkami (grzybami, czekoladą, orzechami, wiśniami, malinami, karmelem), podgrzewane w piekarniku, dzięki czemu nabierały powietrza i stawały się delikatnie chrupiące; w piekarniku piekli także ziemniaki, i jedli je, maczając w oleju; spaghetti ze smażoną cebulą i, oczywiście, keczupem oraz sosem sojowym; inne rodzaje makaronu; jedli bułki, rogaliki, ciasteczka; jedli różne sery (polskie serki topione o smaku grzybowym, szynki i, co za niespodzianka, o smaku sera; jantar, serki topione w złotkach – twarde, śmierzące i nieśmierzące), kiełbasę, mięso, szynkę, jedli czekoladę, cukierki i wafle „Artek”, pieczeń wieprzową „Floryda”, omlety po algiersku, okrągłe anyżowe ciastka, pizzę neapolitańską, cielęcinę na liściach szpinaku, roladę z flandry ze szparagami, rurki z chrzanem i bitą śmietaną, mięso w cieście po kasselsku, ciastka migdałowe z orzechami laskowymi, bezy czekoladowe, jedli ponadto koci serek – nazywali go tak, od namalowanego na pudełku kotka z wielką łyżką, i nawet zwracając się do ekspedientek w sklepie prosili o „koci serek”, chociaż te, przelęknione, dziwiły się i setki razy dopytywały: „Mają Państwo na myśli serek homogenizowany?”

Naczynia z jedzeniem ustawiali, mniej lub bardziej stabilnie, na wełnianych kocach, którymi nakrywali się w nocy. Koce bardzo gryzły, ale grzały jakimś żywym, a nawet, życiodajnym ciepłem, od którego robiło się przytulnie i dobrze, zasypiali pod nimi szybko i słodko, a sny mieli nad wyraz przyjemne, pełne uczuć, aż przykro było się budzić, bo wydawało się, że tylko we śnie, pod tymi wełnianymi kocami, w półświadomych objęciach, zupełnie nic im nie zagraża, tu jest ich ostoja, ich norka, w której żadna rzeczywistość czy metafizyczna siła nie jest w stanie ich osiągnąć, czy choćby dotknąć.

Właśnie przez te koce, pod którymi czuli się, jak dwa malutkie zwierzątka, przez koci serek, przez ozdobione wizerunkami zwierząt butelki i kubki, Marta i Łukasz na początku zaczęli się bawić, a później prawie uwierzyli w to, że nie do końca są ludźmi. Gdy okazywali radość, szybko machali w prawo – w lewo palcem wskazującym wyciągniętym w górę, imitując ogon Tarzana w chwilach, gdy ten był szczególnie podniecony. Oblizywali sobie wzajemnie szyję i policzki, zresztą, jak i wszystkie inne części, i nazywali to „podlizywaniem się”. Marta lizała wolno i leciutko, jej wąski język był troszeczkę szorstki, liżąc wyczuwała każdy fragment skóry, każde wgłębienie, wypukłość, każdy włoszek; z kolei Łukasz, na odwrót, lizał szybko i zachłannie, jak prawdziwy pies, nie pozwalał odetchnąć żadnemu z nich, w ciągu kilku sekund dotykał językiem oka, ucha, zagłębienia

między piersiami oraz pięty, pozostawiając wszędzie wilgotne ślady. Marta potrafiła wydawać przy pomocy gardła dziwne dźwięki, które przypominały kocie pomruki, potrafiła też warczeć jak rozzłoszczony szczeniak z ostrymi mlecznymi ząbkami – Łukasz nie był w stanie powtórzyć ani jednego, ani drugiego, w ogóle wątpił, że jakakolwiek ludzka istota na świecie umie wyczyniać takie rzeczy. Tak więc zmieniali się w kocięta, czasem – tygryski lub lwy, często psy, jak również bobry, burunduki, aksolotle, makaki o świńskich ogonkach, pawiany, wilki i lisice, niedźwiadki i niedźwiedzice, słoniki, pająki i ośmionogi, a oprócz tego Marta, gdy podskakiwała i obejmowała jednocześnie Łukasza nogami w pasie, a rękami trzymała go za szyję, stawała się misiem koala i mogła tak siedzieć na nim godzinami.

Marta skuliła się w kłębek pod kocem i pod Łukaszem, i zaczęła opowiadać:

- Pewna kobieta wymyśliła prezent dla męża z okazji rocznicy ślubu. Zdecydowała, że własnoręcznie zrobi dla niego wełniany koc. Długo i z uporem hodowała runo, strzygła je dopóty, aż nie nazbierała całej piwnicy kędzierzawej sierści. Wtedy, choć było to niełatwe, wyprzędła z niej nici i wytknęła najcieplejszy, najmniejszy na całym świecie, wonny koc. Pod tym kocem poczęli wszystkie swoje dzieci, a te z kolei – wnuków, a wnukowie – prawnuków i tak dalej.

Łukasz zaśmiał się:

- Skąd ty bierzesz te historyjki?
- Są prawdziwe! – z oburzeniem krzyknęła Marta – Na przykład tę przeczytałam w gazecie.

Droga Fiono, masz do mnie o coś żal? Nie, oczywiście, że nie, cóż za głupia myśl. Nie możesz być na mnie zła, bo mnie rozumiesz, rozumiesz moje uczucia, moje poczynania najlepiej na świecie, rozumiesz tak, jak nikt nie byłby w stanie zrozumieć. I dlatego niczego nie żałujesz, tak ja i ja nie żałuję. I dlatego trzymasz za mnie kciuki, i nie myślisz, że jestem zdrajcą czy kanalią, prawda?

Dzisiaj poczułem coś okropnego. Wyglądało na to, że jestem zazdrosny o Martę i...wiesz o kogo? O psa, o Tarzana. To nie takie proste, to znaczy skomplikowane raczej – nie bierz tego dosłownie.

Zmierzchało, nie świeciła prawie żadna latarnia, wracałem do domu przemarznięty i mokry, zirytowany tą paskudną pogodą, rzadką ostrą mżawką, porywistym wiatrem. Naprzeciwko naszego okna, pomimo wilgoci, tliło się niewielkie ognisko. Gęsty dym o zapachu palonych i zbutwiałych liści ścielił się nisko nad asfaltem i zdążyłem jeszcze pomyśleć: „Tylko trupów jeszcze brakuje do pełnego obrazu”. Po tych słowach moim oczom ukazała się niewyraźna postać obok drzewa, spowita dymem, ukryta w ciemności. Może mi się wydawało, prawie jej nie widziałem, ale czułem ją wyraźnie, niemalże boleśnie. Ognisko na zmianę rozplomieniało się i zupełnie gasło, czasami dym zakrywał sylwetkę, co tylko wzmagало uczucie grozy. Ale gdy się przeredził, ujrzałem – jeśli oczywiście nie był to jedynie wymysł mojej wybujałej fantazji – pobłyskujące szkła okularów, a nawet garnitur w pomarańczowym kolorze, niewykluczone, że sztruksowy.

- Tam, naprzeciwko naszego okna, widziałem Adriana, - z trudnością wydusiłem, jak tylko przestąpiłem próg.

- No i co z tego? Czeka na mnie. - spokojnie powiedziała Marta, i powtórzyła dokładnie to, co już kiedyś mi powiedziała:

- Czyż nie jestem osobą, od której można czegoś chcieć?

Podprowadziłem ją do okna i zapatrzyliliśmy się w ciemność. Nagle Marta wzdrygnęła się:

- Popatrz, Tarzan!

- Gdzie? – nie mogłem dojrzeć nawet plamki. Marta już biegła schodami na dół, bosa i prawie nie ubrana.

Chwilę później byli już w domu. Marta obejmowała i całowała obszarpanego i brudnego Tarzana, a ten, nieprzytomny z radości, popiskiwał, machał ogonem i oblizywał ją.

- Przecież jesteś chora – powiedziałem z wyrzutem, przypominając sobie o naszym „podlizywaniu się” i „machaniu ogonami”. Nie uwierzysz, Fiono, ale pierwszy raz poczułem niechęć do psa. Miałem wrażenie, że ta para coś przede mną ukrywa, że bezwstydnie mnie okłamują, z trudem wstrzymując się od otwartej kpiny.

Łukasz miał też hobby - fotografię. Pokazał Marcie stary kufer ze strojami z końca wieku (dwudziestego, rzecz jasna), który swego czasu znalazł na strychu. Marta ubierała spódnice i bluzki ze wspaniałymi kołnierkami i rękawami, haftowane i wyszywane sukienki, bezkresne, obszerne ciepłe pantalone, półprzeźroczystą koszulę nocną ze 115. maleńkimi guziczkami z kości słoniowej, nawet gorset udało jej się zasznurować prawie do końca. Siadywała po prostu przy stole lub na łóżku, czytała, paliła papierosa przez fikę, a Łukasz tylko cieszył się i robił zdjęcia.

Żeby porobić zdjęcia, jeszcze w połowie listopada pojechali do Kamieńca Podolskiego. Miejsce wybrali na oślep, wskazując z zamkniętymi oczami na jedną z dwudziestu trzech wypisanych nazw. Wieczorem, szesnastego, wsiedli do pociągu „Kobzar” (Truskawiec – Kijów), czyste przejścia i umyte okna pociągu aż lśniły. W wagonie było okropnie gorąco. Marta i Łukasz mieli bilety na górne miejsca leżące. Dwa dolne zajmowało starsze małżeństwo – najpewniej rówieśnicy Marty, ale jakże od niej inni! – zdążyli się już gruntownie porozkładać, rozścielić i, ułożywszy się wygodnie, grali w karty. Na nowych sąsiadów staruszkowie zerkali z nieukrywaną niechęcią, więc nie pozostawało im nic innego, jak, jeszcze przed odjazdem pociągu, wdrapać się na swoje miejsca i ociekając potem udawać, że czytają książki.

W Chmielnicku obudził ich konduktor, oddając przy tym bilety. Już sam wygląd dworca nie wróżył nic dobrego – w ponurej nocnej ciemności to tu, to tam przemykały złowróżbne cienie pijaków spragnionych milicjantów przeganianych i głodnych żebraków nienasyconych kasjerów umęczonych życiem podróży sennych kalek bezdomnych dzieci duchów kolejarzy – przecinki można porozstawiać w dowolnej kolejności. Pociąg Kijów – Kamieniec Podolski, którym mieli dostać się do punktu docelowego, miał przybyć najwcześniej za dwie godziny. Marta i Łukasz znaleźli miejsca w czymś, co przypominało poczekalnię. Niewiadomo, kto i na co tam czekał – może i rzeczywiście na pociąg, może na sen, może na ciepło, może na jałmużnę, współczucie, jedzenie, szczęście.

Łukasz od razu zasnął, natomiast Marta, przebywając w stanie skrajnego napięcia, obserwowała wszystko dookoła, starając się, jednakowoż, nie sprowokować jakiegoś nieszczęścia. Postaci przepływały przed nią jak w filmie - milicjant podchodził do każdego i nakazywał nie zasypiać, bo

pokradną rzeczy; dziewczynki wiekiem około czternastki, wyglądające na grzeczne uczennice z dobrych rodzin, krążyły tam i z powrotem między nocnym barem dworcowym, a specjalna sala do nocnego wypoczynku o podwyższonym standardzie; biedaczyna z zespołem Downa coś burczał; wszystkie babcie i dziadkowie mocno ściskali w swoich w rękach puste plastikowe butelki; jegomości o krwiopiczym wyglądzie grali z podrostkami w elektroniczną ruletkę, przychodzili i odchodzili, po to żeby wyjaśnić pewne kwestie we wzajemnych relacjach, zarobić, zabić kogoś lub zgwałcić, kupić chipsy, zadzwonić do domu, rzucić jałmużną kalece na wózku.

Pociąg zatrzymał się na całą godzinę.

Marta odetchnęła dopiero po zajęciu swego miejsca, odpłynęła leżąc na kolanach u Łukasza, chociaż miała wrażenie, że nie śpi, a wciąż w napięciu obserwuje podejrzanych osobników.

Wydawało się jej jeszcze, że pada śnieg, i że ktoś śpiewa. W Kamieńcu byli około siódmej rano. Nowa część miasta nie podzialała na nich szczególnie pociesząco – szare odrapane blokowiska, błoto, nieprzyjemny wiatr, pusty żołądek, zmęczenie, brudne zęby. Wolno przemierzali się po zapuszczonych ulicach, próbując znaleźć PKS lub otwarty sklep, kawiarenkę lub zamek – na marne. Dookoła widać było tylko stacje benzynowe, fabryki, targowiska, ruiny i zamknięte bary. Wracali do tych samych miejsc, z których wychodzili, kluczyli, starając się w ten sposób skrócić czas oczekiwania na otwarcie miejsca, w którym mogliby odpocząć. W końcu, zresztą, postanowili zarzucić ten pomysł i udali się na stare miasto. Wtedy trafili na olbrzymią socrealistyczną restaurację „Strzelec”.

Sala mogłaby pomieścić od 150 do 200 osób i była zupełnie pusta. Rzuciwszy okiem na liczbę krzeseł i stołów, przy których nikt nie siedział, wysokość ścian, bezkresność sufitu, Marta i Łukasz poczuli zadowolenie. Kelnerka przyniosła ich zamówienia, a potem włączyła głośniki zamontowane gdzieś pod sufitem: „Et pour moi tu seras pour toujours l'enfant du dimanche...”

Po śniadaniu po kolei umyli zęby nad zlewem w toalecie. Potem było już o wiele lepiej.

Stare miasto z zamkiem, murami, wieżami, cerkwiami, zaniedbanym ratuszem i malowniczymi ruinami, oddzielone było od nowego wysokim kanionem, w dole którego płynęła rzeczka Smotrycz. Wąskie ścieżki, zza których wystawał pierścień okrągłej kamiennej studni, wiły się pomiędzy drzewami i krzakami; cerkiewne kopuły i iglice wież napotykały pierwsze promienie nieoczekiwanego słońca.

Na jednej z uliczek, pod żelaznym smokiem, pełniącym funkcję rynny, Marta i Łukasz spotkali parę – chłopca i dziewczynę. Dziewczyna kończyła dwadzieścia lat.

W czwórkę obeszlili wszystkie zakątki zrujnowanego zamku\*, zajrzeli do każdego okna i wyrwy, zrobili zdjęcie każdej krowie z okolicznych pagórków, każdej kurze krążącej wokół przepaści, w którą dawniej zrzucano więźniów. Z Nowej Wschodniej Baszty\*\* patrzyli na zachód, a z Małej Zachodniej – na południe; w Baszcie Lanckorońskiej rozmawiali o Bałtyku, w Komendanckiej wypili butelkę szampana, w Rożance postanowili, że później wyskoczą coś zjeść; w Dziennej trochę odpoczęli, z Nowej Zachodniej Baszty – znów patrzyli na zachód; w Lackiej – łakomo oglądali się za dzieckiem z chrupkami kukurydzianymi, w Tęczyńskiej poczuli nieodpartą ochotę, aby czym prędzej pójść na Basztę Kołpak, a w Papieskiej\*\*\*Łukasz powiedział, że kiedyś we Frankiwsku\*\*\*\* mieszkał nieopodal ulicy Karmeluka\*\*\*\*\*; w Baszcie Wodnej wypili po piwie; na Moście Zamkowym wyrazili przypuszczenie, że komuś z nich, albo nawet wszystkim naraz, może zrobić się niedobrze, ale w sumie niekoniecznie.

Oprócz tego jedli czekoladę w dzielnicy ormiańskiej, a dokładniej – na ulicy Róży Luksemburg;

patrzyli na powietrze nad Basztą Stefana Batorego; przenieśli jubilatkę na rękach pod Ruską Bramą, pomimo, że kropiło tam wodą; na cmentarzyku za kościołem Piotra i Pawła rozmawiali o kulach powietrznych, rodzeniu dzieci i śpiewali „Sto lat”; zaszli do ratusza na wystawę figur woskowych przywiezionych z Sanki-Petersburga; siedzieli na ziemi koło Baszty Rzeźniczej, patrzyli na przeciwległy bok kanionu i most nad nim; jedli pieczone kasztany i mandarynki, którymi częstowała jubilatka, palili papieroski skręcane dla wszystkich przez Martę.

W końcu, niemalże na pośladkach, dotarli na dół do Smotrycza. Marta jako pierwsza rozebrała się i rzuciła do wody. W ślad za nią to samo uczynili także nowi znajomi. Nie można było wytrzymać lodowatego zimna. Marta zanurkowała i wypłynęła, nagle zauważyła śnieżynkę, która spadła na wodę, i natychmiast roztopiła się.

Łukaszowi akurat skończyła się klisza.

Inny sposób na to, żeby poradzić sobie ze starością – to nie myśleć o niej – powiedziała Marta w dniu, w którym nie zakaszłała ani razu. Patrzyła przez okno na płatki śniegu płynnie spadające z nieba. – Tak robił mój dziadek i babcia. Odkąd tylko pamiętam, pracowali bez wytchnienia, wciąż zabiegani, pomagali wszystkim po kolei, nie zezwalając sobie ani na chwilę wolnego, w której mogliby o czymkolwiek pomyśleć. Im byli starsi, tym więcej kłopotów brali na swoje barki.

Mój dziadek był niemalże alchemikiem. Lub – inaczej – perfumiarzem. Gdy uzyskał pełnoletność, otrzymał pokaźny spadek po swojej dalekiej ponętnej ciotce i stworzył kosmetyki marki „Süskind”:

Nałóż puder, nałóż szminkę –

A wnet zmarły zmieni minkę.

Trochę tuszu, plus rumieńce –

Już uśmiecha się w podzięce.

Kropla perfum doda życia -

Przygotuje do przebycia,

Tej ostatniej drogi nam,

Firma „Süskind” tu i tam.

Jego kosmetyki dla zmarłych przez jakiś czas były naprawdę popularne, nawet wśród żywych. A co dopiero mówić o zmarłych. Pamiętam, że nieraz przychodząc do pracowni dziadka, zastawałam tam zimne, nieruchome ciało, leżące na wielkim stole pośrodku pokoju. Dookoła, w szklanych szafkach, na podstawkach i w skrzynkach leżało tysiące kosmetyków. Pachniało konwaliami, piżmem, spirytusem, różami, pudrem, spalenizną i śmiercią. Dziadek najczęściej siedział na wysokim

krzeselku obok „klienta” i, z językiem wyciągniętym na wierzch ze skupienia, podkreślał umarłemu oczy na czarno, zamalowywał na twarzy cienie śmierci, nadawał czerwoności ustom, a policzkom przywracał naturalny odcień – na koniec ci zmarli wyglądali na bardziej żywych od żyjących, i zaskakiwało mnie, że nie mówią, czy też nie uśmiechają się, nie mrugają i nie oddychają. Dziadek chciał kiedyś zostać malarzem – portrecistą, który całe dni spędza na rynku, siedząc na zimnych schodach i czekając na to, kiedy wreszcie przyjdzie grupa turystów, i każdy z nich zamówi swój portret. Ale spadek po ciotce przekreślił wszystkie marzenia. Dziadkowi przyszło doskonalić swoje umiejętności na martwych. I był naprawdę wybitnym artystą. Swoim kunsztem przerósłby wielu malarzy o światowej sławie, o jego pracach zawsze mówiono jak o arcydziełach, a styl określano jako coś pomiędzy Dürerem i Domenico Veneziano, Rafaelem i Jacopo Pontormo (przy czym, rzekomo, grę światła i cieni otwarcie zapożyczał od Caravaggia), ale ja wiedziałam – dziadek od nikogo nic nie zapożyczał, nawet nie wiedział, kim był ów Rafael, chociaż lubił przeglądać reprodukcje Domenico Veneziano. Jednak to nic nie oznaczało. Mój dziadek był artystą – samorodkiem.

- No dobrze, dobrze – wtrącił się Łukasz – wszystko rozumiem, oprócz jednej rzeczy – po co ktoś miałby charakteryzować umarłych?

Marta roześmiała się.

- Głuptasku! Oni też chcieli być piękni. Prawie każdy człowiek skrycie marzy, ażeby w trumnie wyglądać piękniej, niż wyglądał nawet za życia, wielu zapisuje to jako pierwszy punkt w swoim testamencie. I ja jestem gotowa poświadczyć w sądzie – mój dziadek wykonywał ów punkt pierwszy lepiej, niż można to sobie wyobrazić. Widywałam ich zanim dziadek dotknął ich swą czarodziejską ręką. To były białe twarze o sinozielonym połysku, niewyraźne, prawie niewidoczne, a w ciągu kilku godzin stawały się spokojne, ukojone, uśmiechnięte, uduchowione, tajemnicze, rozsądne, przebiegłe, wieloznaczne, natchnione, egzaltowane itd., itp. Na początku ich zapach – zapach zmarzłego błota przytłumiony aromatem z pierwiosnków – wywoływał nudności, utrudniał oddychanie, wywoływał łzawienie, ale gdy tylko dziadek wyciągał ze specjalnej skrzynki jedną ze swoich maluteńkich buteleczek z perfumami, atmosfera zmieniała się kardynalnie – i oto już był słoneczny dzień, albo sad jabłkowy, albo cukierki czekoladowe, albo skórka pomarańczy, albo kawa z pianką, albo żółte opadłe liście, albo Nowy Rok, albo co tylko chcesz - zapachy, które zachęcały i wzruszały, zapachy świąt i uroczystości. Ponadto, perfumy i kosmetyki zamawiały u dziadka najwybitniejsze aktorki i aktorzy, śpiewaczki i śpiewacy, baleriny i baletmistrzowie, politycy, żony bogaczy i sami bogacze, znakomite prostytutki, i wiele, wiele innych sławetnych kobiet i mężczyzn. Firma „Süskind” kwitła, rozrastała się, pochłaniała inne firmy kosmetyczne i perfumierne, stawała się monopolistą...

- A twoja babcia? – zaciekał się Łukasz – pracowała u dziadka? Czy może siedziała w domu?

- No coś ty! – krzyknęła Marta – Babcia była kobietą wyemancypowaną. Założyła swój interes, który rozmachem wcale nie ustępował firmie dziadka. Oboje byli bezwzględni monopolistami, właścicielami przedsiębiorstw – kolosów. W gruncie rzeczy, każde z nich powinno wynająć zabójcę i złożyć zamówienie na konkurenta, albo przynajmniej niechby wzięli rozwód, nie mówiąc już o tym, że o żadnej miłości, porozumieniu, wzajemnym szacunku i ognisku domowym nie powinno być w ogóle mowy. Ale gdzie tam – było odwrotnie. Dziadek i babcia znajdowali czas na wszystko – na dzieci, i na pracę, i na przyjaciół, i na nieznajomych, i na pieniądze, i na ubogich, i na chorych, i na imprezy, i na żywych, i na martwych, i na nie narodzonych, i na wielkich, i na maluczkich... Jak już jesteśmy przy tych ostatnich, babcia zajmowała się właśnie produkcją mebli dla karzełków. Kto w owych czasach nie słyszał o marce „Guliwer”? A dziś? Biedni maleńcy ludzie! Jak teraz dają sobie rady? Kto o nich dba? W dzieciństwie cały mój pokój pękał w szwach od krzeselek, szafek, stolików, toaletek, szafeczek nocnych, komódek, łóżek od babci. Dzieci to też karzełki, a karzełki –

to też dzieci. Nigdy nie widziałam piękniejszych mebli, niż meble marki „Guliwer”. Lite drewno, rzeźbienia, inkrustacje, zapach, faktura, wytrzymałość, wygoda, niezawodność. Dochodziło nawet do tego, że niektóre kawiarnie i restauracje zamieniały swoje zwyczajowe umeblowanie na miniaturyzowane, bo to było stylowe i, pomimo że wielu odwiedzających nie mieściło swoich tłustych tyłków w małych krzeselkach, łamiąc je i przewracając stoły swymi niezgrabnymi ruchami, liczba klientów nie zmniejszała się – a wręcz przeciwnie. Jeszcze przed śmiercią babci jakaś wysoko postawiona osoba kupiła ogromną partię krzesłek do parlamentu, a jeden progresywny ksiądz zamówił do swojej cerkwi małą mównicę i ławeczki. Nota bene, koncepcję kampanii reklamowej „Guliwera” opracował sam Henri de Toulouse-Lautrec. Często zabawiał się malując te smutne postacie, które oglądał z perspektywy karła. Ustawiał je w satyrycznych kombinacjach – masywne kobiety, których twarze zasłonięte były tłustymi słupami nóg w czarnych pończochach wlatujących ponad głowami widzów, pyzaci panowie i otyłe prostytutki z podwójnymi podbródkami i o wulgarnych rysach, przewracające się na małych krzeselkach, starające się utrzymać równowagę i nie zhańbić w oczach ludzi równych sobie, pomimo że już dawno zhańbiły się przed niskim człowieczkiem o ostrym spojrzeniu. Toulouse potrafił wyobrazić sobie, co tylko chciał – babcia była w nim wręcz zakochana. Mnie, w jednej z jego prac, „Moulin Rouge”, najbardziej przypadła do gustu ruda prostytutka w różowej sukni z trójkątnym wycięciem na plecach. Stoi z jeszcze jedną kobietą w głębi pokoju, odwrócona tyłem i poprawia fryzurę.

- I co dalej?

- Dalej właściciele przedsiębiorstw - kolosów pomierali ze starości. To zaskoczyło nawet ich samych – serce dziadka zatrzymało się akurat, gdy spryskiwał perfumami pewnego martwego ambasadora. Spadł z wysokiego krzesła, a skrzynka z perfumami zleciała wraz z nim, buteleczki porzbiły się, rozbryzgując wonności na dziadka. Możesz sobie wyobrazić, jak te zapachy ulatniały się na pogrzebie. Babcia zmarła tego samego dnia pod czas przyjęcia w Związku na Rzecz Równouprawnienia. Piła szampana, przechyliła się i spadła, odbierając przy tym życie dziewięciorgu karłom, gdyż przygniotła ich własnym ciałem. Oboje pozostawili po sobie plany na kilka najbliższych lat, ambitne projekty rozszerzenia i połączenia swoich przedsiębiorstw, tysiące niedokończonych spraw, niewypowiedzianych słów, nie zrealizowanych obietnic. Nie zostawili natomiast testamentu z pierwszym punktem, w którym zażyczyliby sobie, że chcą pięknie wyglądać w trumnie. Nikomu nie pozostawili spadku, żadnych rozporządzeń i wskazówek.

- I co stało się z „Süskindem” i „Guliwerem”?

- Nic, po prostu rozpadły się. Okazało się, że karzełków nie ma znów aż tak wielu, żeby masowo produkować dla nich jakieś towary, i że zmarły niekoniecznie ma być umazany jak klaun w cyrku objazdowym. Majątek został rozkradzony, firmy porzucane. I tak po cichu nastąpił krach dwóch imperiów, tak nastąpił koniec.



## [Na zawsze zostać]

Na zawsze zostać w szkole dominikanek pod Wiedniem,  
Modlić się wyłącznie po ukraińsku, sióstr budząc zdziwienie i podziw.  
Po kolacji czasami pisać orędzia do krewnych,  
Pytając, jak ich zdrowie, i jak obrodziły ogrody.  
Codziennie na rynek przy Schlossbergstrasse chodzić,  
Przywyknąć do dostatku, własnym jeździć autem,  
Żyć w zgodzie z sobą, dziękując Zbawicielowi  
Za to, że wszystko poszło tak dobrze. I raptem  
Po jakichś dwudziestu latach, kiedy nikt już nie będzie  
Widział w tobie obcej, zbudziwszy się o poranku  
Pomodlić się po ukraińsku budząc zdziwienie znów wszędzie  
I, nie zdejmując z siebie habitu dominikanki,  
Wiedząc dobrze, co zamieniasz i na co,  
Wyruszyć w drogę z niepowracania zamiarem  
Dziwiąc tych, którzy nie myśleli, że słowo "ojczyzna" ma taką  
Niezgłębioną pojemność.  
I zdziwić się samej.